

SERWIS INFORMACYJNY

„S”

Miejska Biblioteka Publiczna
w Białej Podlaskiej
ZIAŁO INFORMACYJNE, BIBLIOTEKA
I ŚRODOWISKO REKREACYJNE
ul. Warszawska 12
21-500 Biała Podlaska
609214361-11

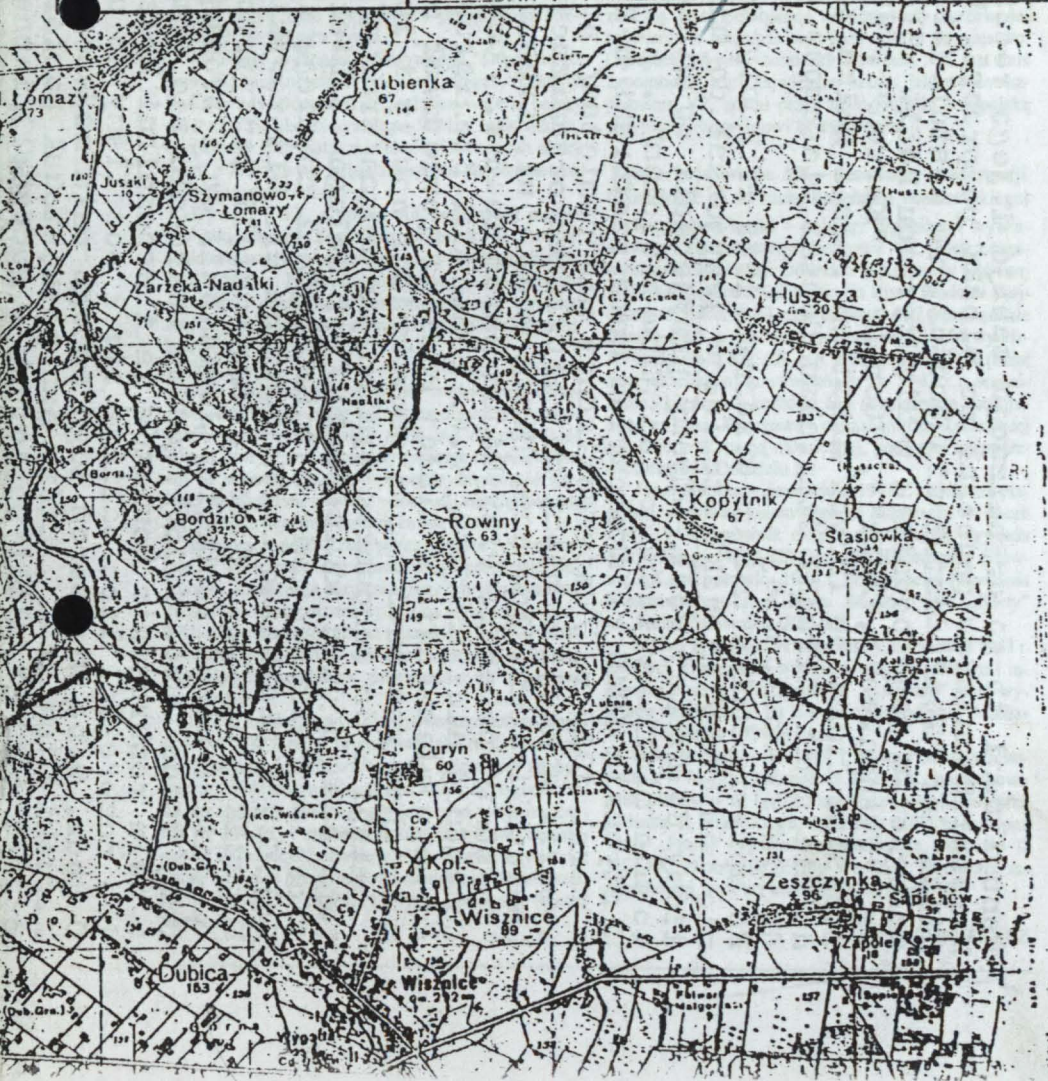


BIULETYN

ORGAN ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NIĘPODLEGŁOŚCIOWEGO ZWIĄZKU
ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ

Biała Podlaska

3/1999 r. 13



konspiracji to do organizacja zabije i jego rodzine .
Mirecki Stanislaw pojechał do wioski po pracy . Po upływie
kilku dni "Tom" dostał wiadomość , że zostali zjapani
członkowie jego oddziału w Międzyrzeczu Podl. Zjapani zostali
ps. "Wygnaniec", "Zubr", "Gonek" i "Korzeń". "Tom"
rozesłał ludzi po innych miastach . Ja i kilku zostaliśmy
na miejscach . Mirecki Stanislaw dostał wiadomość i pojechał
do Białej Podlaskiej .

Po upływie kilku dni we wrześniu 1945 r. / daty dokładnie
nie pamiętam / Mirecki Stanislaw przyjechał do mnie i pojecha-
liśmy do Białej Podl. Wszyscy przyjechali do Białej Podl.
to nie mieliśmy żadnego kontaktu z "Tomem" .

W styczniu 1946 r. / daty dokładnie kurs szoferski w Białej Podl.
w marcu 1946 r. / daty dokładnie nie pamiętam / przyjechał z
Syberii z Rosji znajomy mój , członek organizacji "AK"
Laniewski Stanislaw zom. Białe Podl. ul. Dreszera ps.
"Zygant" podchor. Przy końcu marca 1946 r. / daty

dokładnej nie pamiętam / w.w. Zoniewski Stanisław przyszedł
do niego mieszkając w Białej Podl. i powiedział mi , że u
niego chce zostawić nagan smerykański nagan i 10 szt.
amunicji . Ja schowałem wymieniony nagan wraz z amunicją .

Tego samego dnia powiedziałem mym kolegom i Białej Podl. , że
jeden osobnik zostawił u mnie nagan i amunicję .

Koleżdy : Białuszek Marek zom, na ul. Witorowskiej ,
Kapszak - ul. Witorowskiej . W.w. wzięli ten pistolet mówiąc

do mnie : chodź rozbroimy Sowietów . Ja z bronią poszedłem .

W celu rozbrojenia Sowietów ja i wspomniani koleżdy chcieliśmy

W ubiegłym miesiącu w Warszawie, w Centralnej Bibliotece Wojskowej, odbyła się konferencja dotycząca wywiadu Armii Krajowej. Ze względu na znaczne zainteresowanie mało znanym tematem przedstawione na niej referaty i wypowiedzi mają być opublikowane w formie książkowej. Poniżej drukujemy obszernie fragmenty wykładu Jana Nowaka-Jeziorańskiego wygłoszonego podczas konferencji oraz krótką informację prowadzącego obrady dra Andrzeja Chmielarza.

Podziemny wywiad wojskowy rozpoczął pracę natychmiast po powstaniu

Wywiad Armii Krajowej

Jednym z największych osiągnięć wywiadu AK było wykrycie

Służby Zwycięstwa Polski we wrześniu 1939 r. Początkowo jego zadania wiązały się głównie z przygotowaniem do planowanego powstania zbrojnego, w związku z czym skupiono się na rozpoznaniu wywiadowym ziem polskich.

Wywiad Związku Walki Zbrojnej, działający niezwykle sprawnie i dysponujący olbrzymią ilością informacji, już w 1940 r. odnotował pierwszy znaczący sukces, jakim było rozpoznanie przygotowań niemieckich do wojny z Rosją.

Meldunki wywiadu ofensywnego, kierowanego przez Oddział Informacyjno-Wywiadowczy (Oddział II) Komendy Głównej ZWZ, przekazywane za pośrednictwem Sztabu Naczelnego Wodza sojusznikom, dostarczały systematycznie niezwykle cennych informacji o kluczowym wręcz znaczeniu dla planowania strategicznego aliantów.

Wywiad ZWZ, a potem AK penetrował niemal wszystkie tereny kontrolowane przez III Rzeszę. Meldunki napływały zarówno spod Moskwy i Stalingradu, dalekiej Finlandii, jak i samego serca Niemiec – Berlina. Nieocenione zasługi polskiego wywiadu znalazły swój wyraz w ocenach i oficjalnych podziękowaniach Brytyjczyków:

Nie mamy dość słów, aby podkreślić znaczenie i wagę, jakie przywiązujemy do znakomitych usług, oddawanych nam przez tę świetną organizację; wyobrażamy sobie trudności, jakie ma do pokonania w swej pracy i przesyłamy jej życzenia i podziękowania za przeszłą, obecną i przyszłą działalność wierząc, że przyczyni się ona waleń do zwycięstwa naszej wspólnej sprawy (opinia za rok 1942).

Informacje dostarczane przez wywiad AK pozwalały na właściwą ocenę niemieckiego potencjału wojennego. Znakomite rozpoznanie przemysłu niemieckiego miało bezpośredni wpływ na wybór strategicznych celów przez lotnictwo alianckie. Dzięki wywiadowi AK zniszczono wiele niemieckich obiektów wojskowych, zakładów przemysłowych i portów morskich.

Dzięki szczegółowym danym dostarczonym przez wywiad AK alianci orientowali się bardzo dobrze w sytuacji na froncie wschodnim. Informacje zdobyte przez podziemny wywiad pozwoliły Brytyjczykom na uprzedzenie Stalina o planowanym ataku na Rosję. W 1942 r., i to bezpośrednio Rosjanom, dostarczono informacje pozwalające na określenie właściwego kierunku przygotowań niemieckich do uderzeń ofensywnych na poszczególne odcinkach frontu wschodniego.

niemieckich przygotowań do użycia broni rakietowej. Zszyfrowanie niemieckiej cudownej broni (Wunderwaffe) należy uważać za drugie co do znaczenia, obok zdobycia w 1938 r. niemieckiej maszyny szyfrującej, osiągnięcie polskiego wywiadu.

Nie ulega wątpliwości, że działania wywiadu AK wspierały wysiłek zbrojny aliantów w sposób znacznie efektywniejszy niż działania dywersyjne i partyzanckie. Lata powojenne nie stwarzały możliwości mówienia o wkładzie wywiadu AK w zwycięstwo. Ogromny wysiłek żołnierzy wywiadu AK jest dziś zapomniany, a ich największy sukces, jakim było rozpoznanie V2, został przez historiografię europejską przypisany wywiadowi brytyjskiemu.

Żołnierze wywiadu AK – uczestnicy konferencji (działalność do wybuchu Powstania Warszawskiego)

Kazimierz Leski – żołnierz organizacji wywiadowczej „Muszkietery” następnie AK, jeden z organizatorów legalizacji Oddziału II Komendy Głównej AK, szef Referatu Komunikacja Biura Studiów Wojskowych Oddziału II, szef Referatu 997 (rozpoznanie niemieckich organów bezpieczeństwa) kontrwywiadu Oddziału II KG AK, p.o. szefa Referatu 998 (działalność bezpieczeństwa) kontrwywiadu (w 1943 r.), organizator i kierownik komórki 666 (organizacja komunikacji na trasie Warszawa – obszar Europy Zachodniej nie objęty okupacją niemiecką), podległej bezpośrednio szefowi Oddziału II.

Józef Roman – do czerwca 1941 r. kierownik placówki wywiadu kolejowego w Puławach, w latach 1941-1943 kierownik ekspozytury Wołyń wywiadu wschodniego (WW-72) Oddziału II Komendy Głównej AK, od początku 1944 r. do wybuchu Powstania Warszawskiego szef Biura Studiów tzw. „Besty” w „Pralni” (dawnym WW-21).

Stefan Ignaszak – cichociemny, od wiosny 1943 r. zastępca kierownika wydziału wywiadowczego i inspektor sieci wywiadowczych „Lombard” (sieć wywiadu działającego na kierunku zachodnim) Oddziału II Komendy Głównej AK.

Henryk Żuk – od 1941 r. w wywiadzie wschodnim (WW-72) Oddziału II KG AK, początkowo szef placówki w Lidzie, następnie p.o. kierownika odcinka II wileńskiego, od końca 1943 r. zastępca szefa „Pralni” wywiadu wschodniego Oddziału II KG AK, kierownik „Ekipy Wschód”, kierownik samodzielnej sieci wywiadowczej „Pralnia II”.

dr Andrzej CHMIELARZ

Żołnierze wywiadu Armii Krajowej mówią...

Wystąpienie Jana Nowaka-Jeziorańskiego

Drogie Koleżanki, Drodzy Koledzy, Szanowni Państwo

Jestem szczęśliwy, że mam okazję pochylić czoła przed żołnierzami wywiadu Armii Krajowej, bo w moim przekonaniu – nie ujmując nikomu niczego – właśnie Wy najbardziej ze wszystkich polskich formacji wojskowych przyczyniliście się do zwycięstwa nad Niemcami. To jest moje przekonanie, oparte na dokumentach nie tylko polskich, ale również brytyjskich i amerykańskich.

Ja sam nie miałem szczęścia być w wywiadzie. Byłem tylko kurierem i emisariuszem, który przewoził raporty wywiadu Armii Krajowej. To, co kurier przywoził, było owocem i zasługą tego wielkiego zaplecza ludzi, którzy zbierali informacje i przekazywali je, często kosztem własnego życia. (...).

Proszę Państwa

Jak powiedziałem, nie byłem żołnierzem wywiadu, byłem żołnierzem akcji „N”, byłem kurierem, byłem emisariuszem, który dotarł do Londynu bezpośrednio po Teheranie, 11 grudnia 1943 roku. W Teheranie Stalin twierdził, że Armia Krajowa jest efemerydą, wymyśłem rządu polskiego w Londynie, że w rzeczywistości nie ma żadnej Armii Krajowej, a walkę z hitlerowcami na terytorium Polski prowadzi partyzantka komunistyczna. Niestety, premier Churchill i Anthony Eden nie odrzucili z miejsca tego fałszu i postanowili, że trzeba to sprawdzić. Zarządzone zostały specjalne badania. SOE (Special Operations Executive), czyli organizacja, która była w łączności z nami, ze sztabem, i która wspomagała Armię Krajową, miała dostarczyć dokumenty potwierdzające nasze istnienie i naszą efektywność.

Ponieważ w tym czasie byłem jedynym świadkiem, jedynym w Londynie żołnierzem tego podziemia, którego istnienie zostało zakwestionowane, więc byłem przez SOE, a przede wszystkim przez bardzo życzliwego nam pułkownika Harolda Perkinsa, dokładnie przepytany. Perkins tłumaczył się otrzymaną instrukcją. Mamy zlecenie – mówił – żeby opierać się wyłącznie na źródłach brytyjskich, nie polskich. Nieoficjalnie jednak pana pytam, co mamy odpowiedzieć. Proszę panów – powiedziałem – najlepszym, najbardziej namacalnym dowodem są raporty wywiadu Armii Krajowej, które napływają niemal codziennie. Nie znam ich treści, ale przecież wiem o ich istnieniu.

Moja wypowiedź przyjęta została milczeniem, które mnie zdumiało, tym bardziej że Perkins był naszym prawdziwym przyjacielem.

Po wojnie spotkałem go w Londynie na Hyde Park Corner. Poszliśmy razem do klubu na szklaneczkę whisky i zapytałem go, dlaczego wtedy nie odpowiedział. Bo nie mogłem – usłyszałem – ale powiem ci jedno. Udział wywiadu Armii Krajowej jest najbardziej strzeżoną zawodową tajemnicą SIS, bo 70% wszystkich meldunków napływających z sieci agentów pochodzi od Polaków. Jest to ukrywane. Na tym tle istniał konflikt między SOE i wywiadem angielskim. Klóciliśmy się o to, bo uważaliśmy, że to jest krzywdzące dla Polaków.

Wtedy po raz pierwszy zorientowałem się, że istnieje to, co nazywamy zazdrością zawodową, chęcią zapisywania na własny rachunek cudzych zasług.

Proszę Państwa

Nie chcę wracać już do sprawy „Enigmy”, polskiego prezentu dla sojusznika. Po ujawnieniu „Enigmy” w roku 1975 historycy brytyjscy, amerykańscy i francuscy musieli zmienić całkowicie ocenę historii II wojny światowej. „Enigma” pozwalała na odczytywanie najtajniejszych depesz, nawet do dwóch tysięcy dziennie. Dzięki niej aliansi z góry znali zamiary nieprzyjaciela, jego siły, ich rozmieszczenie, wiedzieli o jego przygotowaniach. Bez tej wiedzy zwycięstwo nie byłoby możliwe, albo wymagałoby o wiele większych ofiar i o wiele dłuższego czasu. O tym w tej chwili mówić nie będę, ale chciałbym przypomnieć Państwu, jak ogromny był wkład wywiadu polskiego.

Wywiad był tam, gdzie byli Polacy, a Polacy byli od frontu wschodniego aż po Atlantyk. Na zapleczu frontu wschodniego byli przede wszystkim ci, którzy zostali siłą wtłoczeni do Organizacji Todta. Nie wiem, może są na sali jeszcze ci, którzy wtedy służyli informacjami pochodzącymi bezpośrednio z zaplecza frontu. Na terenie Polski prowadzona była rejestracja całego ruchu tranzytowego przez Polskę na front wschodni i z frontu wschodniego. Pozwalało to – na przykład – Anglikom na rozpoznanie chwili, kiedy został zaniechany zamiar inwazji na Wyspy. Gdy transporty wojska i sprzętu przez Polskę przekroczyły granicę obrony przed ewentualnym atakiem sowieckim,

Żołnierze wywiadu Armii Krajowej mówią...

wiadomo już było, że zapadła decyzja ataku na Rosję.

W Niemczech były dwa miliony Polaków na robotach przymusowych. A oprócz nich byli tak zwani Volksdeutsche i nawet Reichsdeutsche, którzy pozostali w sercu żarliwymi Polakami. Tytuł Reichsdeutcha pochodził stąd, że byli oni przed wojną obywatelami Rzeszy. Niektórzy chcieli udowodnić wobec samych siebie, że pozostali Polakami. Ci byli bodaj najważniejsi.

Dzięki nim mieliśmy niezwykle gęstą sieć wywiadowczą na terenie Niemiec. Była ona szczególnie ważna, bo dotyczyła przede wszystkim przemysłu zbrojeniowego, wskazywała cele bombardowania i informowała o jego skutkach. Wybór celów do bombardowania nie mógł być oparty na „Enigmie”, bo „Enigma” przejmowała tylko depeze radiowe. Obserwacja portów na Bałtyku, budowy łodzi podwodnych, ruchu morskiego – dane o tym wszystkim pochodziły od Polaków.

Osobnym działem, który nie podlegał Armii Krajowej, był wywiad Polski na terenie Francji północnej, który, w razie potrzeby, wysyłał nawet około dwóch tysięcy meldunków radiowych dziennie. Dotyczyły one rozlokowania sił niemieckich, a przede wszystkim rozlokowania wyrzutni V1 i V2. Poza tym istniał też wywiad zewnętrzny, korzystający z ogromnej liczby baz w Sztokholmie, w Konstancynie, w Bernie, w Lizbonie i innych miastach. Był to wywiad o zasięgu globalnym, który zbierał wiadomości w krajach neutralnych i w krajach okupowanych. Spotkał się on ze słowami niezwykłego uznania ze strony Anglików i Amerykanów.

Pozwolę sobie tylko niektóre z nich Państwu przytoczyć. Sekretarz premiera Churchilla Sir John Colville w swoich pamiętnikach *Dzienne dziedzictwo* poddaje ostrej krytyce wywiad brytyjski i twierdzi, że głównym źródłem jego słabości była rywalizacja między poszczególnymi służbami. Najlepsi w tej grze byli Polacy – stwierdza dosłownie sekretarz Churchilla. Generał Kroner, zastępca szefa amerykańskiego wywiadu wojskowego, pisze, że armia polska posiada „najlepszy wywiad na świecie, wartość jego dla nas jest nieoceniona, niestety w zamian możemy im dać bardzo niewiele”. Słynny twórca wywiadu amerykańskiego William Donovan pisał: „Sprawozdania polskiego oddziału wywiadowczego przedstawiają dla sztabu amerykańskiego niezwykłą wartość.

Należą one do najpoważniejszych wkładów, jakie sztab amerykański otrzymuje”. Jeśli to nie wystarcza, przedstawię jeszcze jedną wypowiedź. Minister Lotnictwa brytyjskiego Archibald Sinclair w roku 1942 stwierdzał: „Meldunki nadchodzące w ostatnich miesiącach z polskich źródeł zaliczamy do najcenniejszych, jakie otrzymaliśmy. Zawierały one informacje o niezaprzeczalnej wiarygodności, które uzupełniły obraz niemieckiego przemysłu samolotowego na Wschodzie tak, że jest on lepszy od wszelkich innych okręgów”.

Tego rodzaju cytaty mógłbym przytoczyć więcej.

Proszę Państwa

Na podstawie umowy zawartej między gen. Sikorskim a rządem brytyjskim wszystkie Wasze meldunki musiały być natychmiast przekazywane Anglikom przez nasz Oddział II w Londynie bez żadnych zmian, w oryginalnej formie, tego samego dnia, w którym meldunek nadszedł. Anglicy tłumaczyli je na język angielski. Posiadali więc dwie kopie – polską i angielską. Tuż przed cofnięciem uznania rządowi polskiemu, 30 czerwca 1945 roku komander Wilfred Dunderdale, który był oficerem łącznikowym wywiadu brytyjskiego z naszym II Oddziałem, zażądał wydania wszystkich meldunków, jakie pozostały w polskich rękach, nie wyłączając książek rachunkowych czy dzienników podawczych, absolutnie wszystkich. Płk Leon Bortnowski, zastępca szefa II Oddziału, uzależniony od Anglików, wydał rozkaz, żeby żaden z tych dokumentów nie dostał się przypadkiem w ręce sztabu polskiego.

W ten sposób Polacy zostali pozbawieni wszystkich dokumentów świadczących o wkładzie ich wywiadu do zwycięstwa w II wojnie światowej. Do rąk brytyjskich trafiły najbardziej wymowne, niezaprzeczalne dokumenty i świadectwa. Łącznie ponad 100 tysięcy raportów, wśród nich także raporty dotyczące np. Peenemuende. Po co im to było? Mieli wszystkie kopie poprzednio otrzymane w tłumaczeniu na angielski, a postarali się o to, żeby w rękach Polaków nie pozostało nic istotnego. Było tego 50 dużych skrzyń. Te skrzynie oglądał płk Stanisław Meyer jeszcze gdzieś w 1947 roku.

Później historycy Armii Krajowej z płk. Irankiem Osmeckim na czele opracowywali tom III *Polskich Sił Zbrojnych*, historię Armii Krajowej.

W 1949 r. płk Iranek Osmecki zwrócił się do Anglików o dostęp do naszych własnych dokumentów. Spotkał się z odmową i według niepotwierdzonych, poszlakowych informacji, następnego dnia komandor Dunderdale wydał rozkaz całkowitego zniszczenia wszystkich dokumentów polskich. Zostało to ostatnio potwierdzone oficjalnie przez rząd brytyjski w liście do rządu polskiego po długich latach milczenia.

Michał Wojewódzki, autor książki o VI i V2, w latach siedemdziesiątych wysłał list do członka rządu brytyjskiego-prosząc o informacje, o wgląd w te materiały. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Podobnie nie było przez długi czas odpowiedzi na list Dyrektora Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych. Dopiero pod naciskiem, przysłała odpowiedź na ponownie wysłany list: „wszystko zostało zniszczone, ponieważ miało wartość efemeryczną”, czyli przemijającą.

Zniszczenie to miało jednak charakter selektywny, albowiem wszystkie dokumenty wywiadu brytyjskiego są najstaranniej w świecie zachowane. Dzięki nim ukazała się monumentalna 3-tomowa praca *Wywiad brytyjski w II wojnie światowej*, w której jest również mowa o Polakach. Stwierdza się mianowicie, iż nie ulega wątpliwości, że pierwszy meldunek dotyczący Peenemuende dotarł od Polaków, niestety, raport oryginalny się nie zachował. Wiadomo już, dlaczego się nie zachował.

Niestety, Polacy zostali pozbawieni tej możliwości, z której skorzystali Brytyjczycy. Możliwość opracowania monografii o wkładzie Armii Krajowej i wywiadu polskiego do zwycięstwa w II wojnie światowej. Niestety, taka jest prawda. Mówię o tym z największym żalem i z największą przykrością. Podkreślam jeszcze raz, że osobiście wiele zawdzięczam Anglikom i Polska wiele zawdzięcza Anglikom, ale ma prawo także do tego, by jej wkład w wysiłek wojenny był uznany. Wystarczy zajrzeć do *Encyclopedia Britannica*, która na całym świecie jest źródłem informacji (prawda, że dziś jest to redakcja amerykańska), by przekonać się, że wszystkie takie hasła, jak: „Ultra”, „Enigma”, Monte Cassino – pomijają rolę i udział Polaków w II wojnie światowej.

Nie chodzi przecież nam o to, żeby wywołać konflikt z naszymi towarzyszami broni lub nastroje antybrytyjskie. Chodzi o to, żeby w sposób przyzwoity Anglicy tę sprawę załatwili. Nadużycia jednostek, które kierowały się jakąś osobistą ambicją czy chęcią zdobywania zasług kosztem innych, nie obciążają przecież odpowiedzialnością obecnego rządu brytyjskiego, nie ob-

ciążają w ogóle odpowiedzialnością Anglików. Nadużycia zdarzają się wszędzie, ludzie wszędzie mają tę smutną skłonność, żeby po wojnie, po walce, nie tylko upominać się o własne zasługi, ale – niestety często – zagarniać cudze.

Chodzi o to, żeby przy Waszej pomocy, przy pomocy rządu, przy pomocy opinii publicznej i samych Anglików, bo to są ludzie z gruntu przyzwoici, którzy wierzą w „fair play”, sprawę załatwić. A załatwić ją można bardzo prosto.

Po pierwsze, musi być przyznanie się do tego, że – mówiąc już najogólniej – zostało popełnione nadużycie, i trzeba zbadać, jakie były tego motywy i okoliczności. Trzeba też zbadać, czy został sporządzony jakiś protokół zniszczenia polskich dokumentów. Należą nam się po prostu przeprosiny za nadużycie popełnione przez jednostki. To jest nasz pierwszy postulat. I drugi – powinna powstać, kosztem Anglików, wspólna komisja historyków polskich i brytyjskich. Tak jak istniała wspólna komisja Polaków i Rosjan, która wyprodukowała wspaniałe 3 tomy dokumentów dotyczących stosunków polsko-rosyjskich. Będzie ona miała za zadanie odszukanie tego, co jeszcze się zachowało, bo przecież te raporty bez ujawnienia źródeł były przekazywane innym i gdzieś tam mogły przetrwać. Być może nawet spora ich część przetrwała. Otóż ta komisja powinna odsukać wszystko, co się da, na temat wkładu wywiadu polskiego do zwycięstwa nad Niemcami. To jest jedno. Po drugie, rezultatem działalności tej komisji powinna być praca ogłaszająca wszystkie dokumenty dotyczące współpracy polsko-brytyjskiej w czasie minionej wojny.

To są dwie rzeczy, które pozwolą nam na to, żeby znać sprawę za zamkniętą w sposób przyjazny. Są to postulaty, które Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej w swoim liście wysunął wobec ambasadora brytyjskiego. Jest to list otwarty, szczerzy, ale nie obraźliwy i kończący się tymi właśnie zaleceniami. Ale na to, żeby te zalecenia zostały przyjęte, potrzebna jest pomoc Was wszystkich, potrzebna jest pomoc polskich środków masowego przekazu i przede wszystkim potrzebna jest pomoc naszych rodaków z Anglii, Koła AK, Zjednoczenia Polskiego i naszych przyjaciół brytyjskich, bo mamy tam bardzo wielu szczerych przyjaciół. Będą oni tym, co ja mówiłem, oburzeni w tym samym stopniu, jak Wy. Wspólnym wysiłkiem spełnimy swój obowiązek wobec naszych poległych kolegów, a także tych wszystkich, którzy tyle wycierpieli po to, żeby Polska zwyciężyła.

Jan NOWAK-JEZIORAŃSKI

D-CA I BATALIONU BCH.
IM. ZIEMI PODLASKIEJ
N^o 4.



**BATALIONY CHŁOPSKIE
ŻYWIĄ I BRONIĄ**

ROZKAZ N^o 15
Z DNIA 22 LIPCA 1944R
Z UPOWAŻNIENIA KOMENDANTA GŁÓWNEGO
BATALIONÓW CHŁOPSKICH Z DN. 30.05.1944R
MIANUJĘ

EJSMONT JANA

ps "Chmara "

DO STOPNIA

Sierżanta



PODLASIE-ROSSOSZ
22 LIPCA 1944R

Odezwany i wzmocniono
mianem ps "Chmara" 1944R.
na podstawie odwołanych
dokr. ps "Chmara" z dnia 30.05.1944R
z okresu służby

MJR JULIAN CZUBA, MARIAN
D-CA I BATALIONU BCH.
IM. ZIEMI PODLASKIEJ

C. Marian

Komisja Likwidacyjna b. B. Ch.

Okręg IV Lublin

L. ewid. 26

dnia 3. października 1945 r.

Zaświadczenie

Obywatel *Jan Sawczuk Józef*

członek b. Batalionów Chłopskich

zarejestrowany w dniu *3. X. 1945* w Komisji Likwidacyjnej Okręgu IV Lublin spełnił obowiązek ujawnienia się.

OBSERWATOR

Ministerstwa Bezp. Publ.

Mokier



PRZEDSTAWICIEL
Lublin

[Signature]

PRZEDSTAWICIEL

b. B. Ch. Okręgu IV

[Signature]

S. TAJNE

/Przechować jako dokument historyczny/

Obyw. MARKIZ

O.K.P.P.O.W. mianuje obyw. Markiza II Z- cą Komendanta Obwodu Nr

SZEF SZTABU

ADJUTANT

KOMENDANT OKREGU

ZADORA

[Signature]

BURZA

Do Redakcji „Słowa Podlasia”
ul. Warszawska 12
21-500 Biała Podlaska

W nawiązaniu do artykułu z cyklu „Jak zostałem zapluty karłem reakcji” nr 11 pt.: „W lesie”, zamieszczonym w „Słowie Podlasia” Nr 7 (513) – Stanisława Mireckiego – niniejszym kilka uwag i uzupełnień.

Ad 1. Dot. zamieszczonych fotografii podpisanych: „...Wtedy „Sten” był mi najdroższym przyjacielem...” – Autor nie uściśla w treści z kolei jedenastego artykułu – „kiedy i gdzie” wyposażeniem ładownic na amunicje karabinową. Faktem jest, że w tym samym rejonie pozowali na fotografii koledzy z wymianą na przemian uzbrojeniem. Nasuwa się pytanie jaki to był oddział – grupa uzbrojona, która pozowała do pamiątkowej fotografii? W zasadzie oddziały partyzanckie odróżniały się od ...(-), mając znaki biało – czerwone na części górnej garderoby, jak też orzełki (godło Polski) na nakryciach głów. Jaki dowódca zezwalał podwładnym na wykonanie fotografii? Był zakaz fotografowania zwłaszcza z bronią. Miało to na celu zachowanie anonimowości i tajemnicy przed służbami okupanta, co zostało pomijane po zakończeniu działań wojennych na danym terenie. Nadmieniam, że nasz rejon był wolny od okupanta 24-26 lipca 1944 roku.

Pan Stanisław Mirecki w swych życiorysach podawał, że w oddziale partyzanckim i AK był do dnia 10.VII.1944 r. Należy zaznaczyć, że nie jest to pomyłka w pisaniu, mimo że okres od maja 1944 r. nie został ujęty z zaświadczeniu Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Według w/w danych działalność w Armii Krajowej kończy się w maju 1944 roku, a w związku z tym kolejne pytania:

- Co robił i gdzie przebywał bohater artykułu od maja 1944 r.? oraz to samo pytanie lecz dotyczące czasookresu tj. od 16 lipca 1944 r. do rozwiązania 35 pp AK?

Ad 2. Dot: Fotografii podpisanej „Idą leśni” – 35 ppAK. Obie fotografie zamieszczone przy w/w artykule są ze zbiorów autora. Przykrym jest fakt, że brak jest potwierdzeń uczestników przemarszu, byłych żołnierzy leśnego oddziału 35 pp Armii Krajowej będących pod bronią do rozbro-

jenia. Szkoda, że autor nie uściślił w podpisie informacje dot: okresu i miejsca wykonania tego upamiętnienia. Jaki w tym miał cel? Znany regionalista amator „historyk” celowo nie opisywał zdobytych fotografii zamieszczających w publikacjach. Fotografie służyły do różnych tematycznych publikacji. W/w uwagi winne być uwzględniane przy dalszych podtytułach zakłamanej historii, którą umiejętnie wciska się czytelnikom, jak został zapluty karlem reakcji bohatera autor. Nasuwa się kolejne pytanie z jednoczesną odpowiedzią dla grona zainteresowanych czytelników, weteranów walk, kombatantów znających życiorys autora.

Zachował się w kopii krótki życiorys własnoręcznie napisany przez przywłaszczającego sobie tytuł – „zaplutego karla reakcji” – co jest celowe by wskazać swoją lojalność – dlatego też należy wspomniany życiorys 87 stron rękopisu) zamieścić w cyklu publikacji. Z życiorysu - zajmowanych stanowisk, odznaczeń, wyróżnień oraz pracy społecznej z czasów PRL – u ocenić można tendencyjność publikacji (ksero w7w życiorysu w załączeniu)

Powracając do artykułu j.w. pozwolę na zwrócenie uwagi zainteresowanych, „... Jeszcze tego samego dnia w którym zginął mój brat (tj. 23 maja 1944 roku) byłem na punkcie kontaktowym w Aleksandrówce..” – jaki był to punkt kontaktowy na terenie działalności oddziału leśnego i grup konspiracyjnych 34 pp AK „Zenona” i „Lecha” – „punkt” ten wykorzystywany był do wypadów na „robotę” po zakończeniu okupacji na naszym terenie.

Nocleg w gospodarstwie Jana Paszkiewicza (z 23/24 maja 1944 r.) był noclegiem u rodziny małżonki z domu Michalczuk o czym autor nie podaje, tak jak zachowuje anonimowość co do kolegów z „kedywu”. Szkoda, że nie wymienia szwagra, który był zaprzysiężony po zakończeniu wojny tj. 27.V.1945 r. ur. 28.02.1928 r. Ciekawy i zastanawiający jest kolejny umiejętnie opisany „fakt” przyjęcia do szkolnej kompanii podoficerskiej por. ps. „WIARUS” (Bronisława Saczuka) – w rejon Szaniaw. Dlaczego aż tak daleko? – pomijając oddział najbliższy z rejonu zamieszkania kuzynów żony? Dlaczego zdradza swych dowódców, którzy promowali bohatera cyklu artykułów w dniu „3 maja 1944 roku” w rejonie Rossosza do stopnia podporucznika? Tu po raz kolejny „pomyłono się” celowo z datami. To ta fikcyjna podchorążówka miała promocję 20 lipca 1945 roku. Należy śledzić umiejętnie manewry bohatera przyjmując datę „promocji” 03.05. 1944 r.

A jeżeli tak, to dlaczego nie dokonał odskoku po śmierci brata (23.V. 1944 r.) do oddziału leśnego w rejonie Rossosza, sąsiedniej Janówki czy Leszczanki?

Dlaczego jako „oficer” „przyjmuje” się do szkolnej kompanii podoficerskiej, czy podporządkowuje się podchorążowemu ps. „Skrzetuskiemu” (Henrykowi Narojek) umiejętnie zaznaczając, że dowódcą kompanii był ps. „bej” (Teodorowicz bez imienia).

Pytanie – Od kiedy poznał i w jakim celu nazwiska „swych” dowódców? Odpowiedź jest jedna: - będąc pracownikiem Zarządu Wojewódzkiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Białej Podlaskiej na stanowisku kierownika biura i członka komisji weryfikacyjnej miał wgląd w akta personalne członków, w pisemne relacje jak też nawiązywał rozmowy dyskusyjne z ubiegającymi się o uprawnienia kombatanckie wmawiając sobie „uczestnictwo” w wybranych akcjach jak spr. „Króla” czy „Bedlna” znajomość załogi zestrzelonego w dniu 21. VI 1944 roku samolotu bombowego „B-17” – USA nad Krzewicą. Tak jak i inne chwaliwieństwa jestem w stanie wyciągnąć z zaułków zakłamań i wyprostować dla dobra historii naszego regionu, a nawet państwa. Nie potrzebne będą pomówienia lecz zebrane niezaprzeczalne dowody. W publikacjach bohater pamięta o najbliższych robiąc ofiarami kazamatów gestapo by i im przypisać bohaterstwo w „wytrwałości” zeznań.

Należy przypomnieć, że po tragedii brata, który został trafiony śmiertelnie kulą karabinową przy wieży ciśnień (koło dworca kolejowego) w Białej Podlaskiej nie było aresztowań. Polecono typa pogrzebać w przyległym parku, co wykonał pracownik kolei Jankowski „Czajczekajajo” w zamian zezwolono na zabranie obuwia ofiary.

Mało kto z przeciętnych czytelników zwrócił uwagę na umiejętnie odnotowany „fakt” stawienia się do oddziału mieszkańca Białej Podlaskiej zam. przy ul. Warszawskiej róg Kraszewskiego – Stanisława Bogdasnowicza ps. „TOM” – To wyliczenie niezbędne będzie w publikacji dotyczącej śmierci granatowego policjanta z posterunku w Międzyrzecu Podlaskim o nazwisku KRÓL. Fakt śmierci miał miejsce w pierwszych dniach czerwca 1944 roku, a nasz odczytany bohater będzie „umawiał”, że w lipcu. Dobrze się złożyło, że relacje na temat tej akcji przedłożył jeden z aresztowanych i przewożonych więźniów z Międzyrzecza Podlaskiego do radzyna Podlaskiego. Relacje te wykorzystywał Kierownik Biura ZW ZboWiD w/m- członek Komisji Weryfikacyjnej – Stanisław Mirecki i po latach umieścił swoją osobę w akcji likwidacji wspomnia-

nego policjanta na szosie między Rzeczą, a Kąkolewnicą. Bohater jest tygodniowym partyzantem, ale umiejętnie zmienił datą akcji by „wziąć” w niej „udział”.

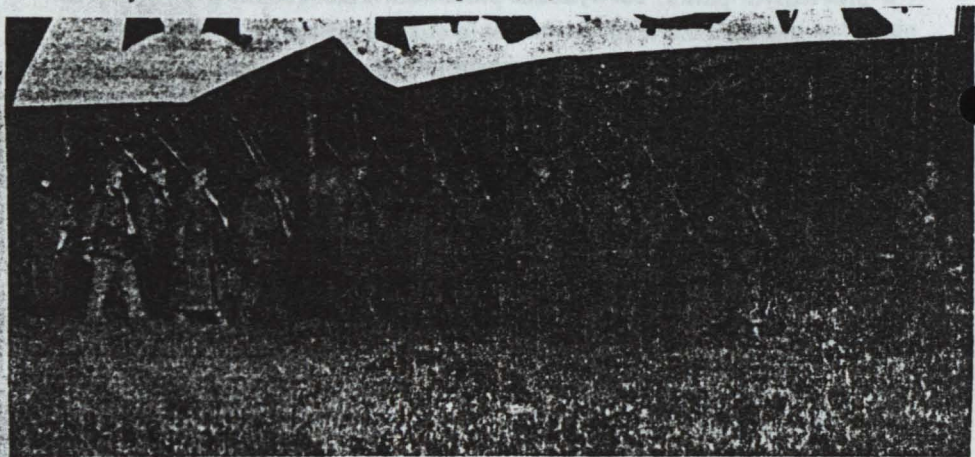
Publikowane fantazje oparte są o miejscowości do których „słowo Podlasia” nie dociera, a przy zapoznaniu z artykułami mieszkańców, kombatantów, Ci robią przysłowiowe dwie oczy i spluwają po kątach.

Z ciekawością i wiązką siarczystych przekłamów przyjmują publikację dotyczącą zdobycia lufy z działka przeciwpancernego jadącego transportem kolejowym w miesiącu sierpniu 1943 roku na front wschodni. Bohaterami tego wyczynu są dawni sąsiedzi z ulicy Witoroskiej – Pl. Trzech Krzyży w Białej Podlaskiej „Skoczowie”, P. Waszkiewicz i Stanisław Mirecki. „Lufa ta została przekazana do Oddziału „Dębowego” i po zamocowaniu na chłopskim wozie „żelazniaku” ogniem nękała Niemców...#”

Ten „wyczyn” – opis nie wytrzymuje krytyki, a od śmiechu można dostać zapaści.

Tak jak i inne fantazje opisywane są jak nadmieniałem: - w celu wykazania swej lojalności, bohaterstwa, uzyskania profitów, odznaczeń, awansów i uznania obecnego społeczeństwa mimo szkód przynoszących historii i ujmie dla żołnierzy partyzantów Armii Krajowej, którzy wybywają z szeregów środowiska, w którym jest w skrócie opisany bohater publikacji ppor. Stanisław Mirecki z Białej Podlaskiej.

Dane do uzupełnienia zebrał i odnotował na życzenie zainteresowanych i dobra historii z okresu pamiętnych lat.



Stanisław Mirecki

Jak zostałem zapluty m karłem reakcji (11)

Jeszcze tego samego dnia, w którym zginął mój brat byłem na punkcie kontaktowym w Aleksandrówce. Przenocowałem w gospodarstwie Jana Paszkiewicza. Na drugi dzień, wieczorem, nawiązałem z mną kontakti trzech koleży z „Kedywu”. Noca wspólnie udaliśmy się dalej. Z bieku (inaczej mljanki) w Forasulach, podciągłem lewarowym dojechaliśmy do Szaniaw. Stamtąd przez kolejny punkt kontaktowy — jeszcze przed południem — dotarliśmy do leżącego oddziału. Zostaliśmy przyjęci do mielnej kompanii podoficerskiej, którą dowodził por. „Wiarus” (Branisław Szczuk). Nie na długo jednak. Po kilku dniach zostaliśmy skierowani do plutonu szelony dowódcy pułku. Podległem pchor. „Skrzetuskiemu” (Henryk Narajek). Nad nim byli 4-cy kompanii „Bc” (Fiederowicz). Tak znalazłem się w innym szwadronie. Ciągła służba, bezpośredni kontakty z bronią, niewygody, niemal codzienne marze, neutralizowały w pewnym stopniu myśli o tym, co dzieje się z moimi najbliższymi. Czy żyje żona, co z matką? Czy wytrzymały przesłuchanie w łapie?

Chyba po doświadczeniu dniach do oddziału dotarł również Tom (Stanisław Bogdanowicz). On też przyniósł najwięcej wiedzy. Matka z żoną były przesłuchiwane, na razie nie nie powiedziały, siedzą w placu białego gąsienicy. Wiedomości te pochodziły od „Wtyczki” AK — podoficera, pracownika administracji. Wstąpiła we mnie ochłota. Nabrałem przekonania, że mimo wszystko, nie będzie tak źle, wszystko się dobrze skończy. Tymczasem życie w lesnym oddziale biegnie swoim towarem. Oddział mój „Milek” tworzyły trzy kompanie, dowodzone przez wybitnych oficerów: „Wielkiego Kraka” i „Sena”. Na postojach kompanie nigdy nie przebywały blisko siebie. Zawsze w pewnym oddaleniu, tak aby każda z nich w razie czego mogła przyjąć drugą z pomocą. Uzbrojenie oddziału było bardzo dobre. Posiadaliśmy też swój kawaleryjski szwadron. Nie była wprowadzona do zbyt licznej jednostki, nie na potrzeby oddziału wystarczała w zupełności. Poszczególne kompanie miały własne tabory. Przy taborach trzymały polowe. Po to, aby nie było słychać, swiecząca noca, charakterystycznego funkułu kół „taborczy” nieślących na „tę słodką krajik”. Wzrost ogólny, wówczas nie mieliśmy. Wypoczywaliśmy dzień po dniu — chociaż nie tylko — zaś poszczególne grupy wykonywały akcje. Dawałmy znać, zarówno Niemcom, jak i swoim, że „leżym” leśniczej. Podrywaliśmy tym na dochu miejscową ludność. Różne to były akcje. Kiedy potrzebowałyśmy żywności, „stakowaliśmy” mieszkających w miejscowości, zabieraliśmy krowy, niemiędo i konie, kradliwy do łow, rekonoń, tam gdzie działy nasze grupy bojowe. Stamtąd przynosiliśmy żywność już przetworzoną. Wszystkie w butelkach po mleku, odpowiadają zaprawione przysmażoną cebulą. Smacznego kawalkami smażonego mięsa, „polem, nopychane” mielony, do tego chleb wiejski, pieczony przez nieznaną gospodynię po wsiach, wraz z nieodłączną świeżą słożową słanowitą (moją menę). Rano i wieczorem — „Obiad” gotowany w „polowych kuchynkach”. Nie głodowaliśmy. Polowanie cięsto było jednostajne. Po-

stoje na wiejskich łożonkach — pojedyncze zabudowania z dala od wsi — pozwalały „dorwać się do mleka” i gorącej wody. W naszych warunkach rzeczy bardzo pożądaną. Wszyscy bowiem dowożyli się mocno we znaki. W oddziale mieliśmy własnego lekarza. O zagrożenie obtarć nóg i ich odparzeń musieliśmy dbać sami. Kiedy było z tym bardzo źle, bądź gdy ktoś zachorował, kierowano nas na „mielny” Akcje w celu zdobywania żywności przygotowywały bojowiki wiejskie, ich „wywiad”. Lesni udzielał „wsparcia. Jedną z najbardziej opęatywych grup bojowych tego rodzaju była bojówka ze wsi Połozne. Jej dowódcą był „Mruk” — dziś mieszkaniec Wareszawy. To właśnie razem z nim brałem udział w kilku śmiałych akcjach. Były też inne, dotyczące likwidowania szpicli, kolaborantów, wysługujących się Niemcom.

Culkiem wśród leśnych ludzi był prawie rytusem. Dlatego na wieść, że wrócić z międzyzwojeń „Rolnicą” będzie transport postanowiliśmy działać. Zostałem wyznaczony na dowódcę grupy, mającej przechwycić ten cenny dla nas — i nie tylko — ładunek. Wyglądało to mniej więcej tak: ubrałem w mundury szandarmów polowej ze stosownymi blachami na piersiach, w rękaw, z nemiemcom — jak przystało na tego typu formację — uzbrojeniem. Nie przypominałmy leśnych ludzi. O dziesiątej zajęliśmy pierwsze zabudowanie w Zakowoli, na skrajku leśnego kompleksu. Od szosy Międzyrzec — Radzyń w kierunku wsi Szóstka biegła stąd wąska droga. Miejsce wyznaczono dla naszej akcji. Gospodyni, kiedy weszliśmy do jej mieszkania, była całkowicie przekonana, że to Niemcy polowali się po masło, jajka, gęś — jak to w ich zwyczajach bywało. Kiedy jednak okazałem się po polsku i wyjaśniłem, o co nam chodzi, lody przysły. Czekaliśmy około godziny. Wkrótce na drodze pojawiła się oczekiwana przez nas platforma z culkiem, cukierkami i herbatnikami. Dwa konwojenci i towarzyszący im osobnik (ich znajomy jak się później okazało), starali się łamaniem oszczędzaniem wytłumaczyć nam, że muszą jechać dalej. Lufa automat



Wtedy „sten” był mi najdroższym przyjacielem.

i wydane po polsku polecenie sprawiły, że dość sprawnie platforma wjechała w las. Konwojenci otrzymali od nas polewotowanie i ułomki się dość szybko. My natomiast ze swoją zdobyczą, nadrabiając drogę, odrębnymi traktami dotarliśmy do lasu w pobliżu Olszewnicy, gdzie stacjonował pododdział por. „Bela”. Do tych i podobnych działań było wielu chętnych. Nie wszyscy choć byli w leśnym oddziale mogli dostąpić tego zaszczytu. Dobierano ludzi w zależności od rodzaju akcji. Preferowano też znajomych choć trochę język niemiecki, no i oczywiście najbardziej sprawnych życiowo. Kłnuł z nas, z racji działalności i doświadczenia w „kedywie”, było można powiedzieć uprzywilejowanych. Do nich zaliczałem się i ja. Jedną z akcji, która najbardziej utkwiła mi w pamięci, było odzicie wieśniów i likwidacja funkcjonariusza tzw. granatowej policji niemieckiej Króla z międzyzwojeń nielofunku...

c. d. n.
do druku przysposobili:
J. KULIKOWSKI

Dr. Wskutek skrótów redakcyjnych w 18 odcinku wspomnianego stało się niejane kogo zresztowano w pierwszych dniach listopada. Wyjaśniamy więc, że nie chodziło o brata sęczy swąga Stanisława Mireckiego. Ponadto z przyczyn niezrozumiałych o redakcji zamieniono podpisy pod zdjęciami oraz wydrukowano myślnie imię Leonarda Mireckiego. Zamierzonych i Cytelników przeproszamy.

RED.



Stanisław Bogdanowicz

Z y c i o r y s

Urodził się dnia 12 listopada 1922 roku w Kielosach ojciec Stanisław matka Katarzyna z domu Bielobylasowa.

Do września 1939 roku przebywał w Warszawie gdzie ukończył 3 klasy gimnazjum Ogólnobrotarskiego Przyjaciół Polako-Francuskich.

W grudniu 1939 roku przedłożony się do Biłzaj Podlaskiej - kierownikiem przesłano do szeregów walczył do pracy przy regulacji rzeki Krzyny.

Od 1942 roku do grudnia 1943 roku pracował na kolei i równocześnie rozpoznał w tym czasie swój szubry w Armii Krajowej, jako żołnierz, później jako szef łączników Inspektoratu "Północ" Biłzaj Podlaska.

W grudniu 1943 roku przeszedł do Oddziału Partyzanckiego - Dowódca por. "Puchos" "następca" "Siercy" gdzie przebywał do utworzenia Armii Czerwonej w lipcu 1944 roku.

W miesiącu sierpniu Oddział rozbroił się a ja wróciłem do konspiracji. W sierpniu 1944 roku zorganizowałem KD I w 35 pp z miejscem postoju Biłzaj Podlaska. Dowódcą Komendanta Obwodu Biłzaj Podlaska zorganizowaną komurkę konspiracyjną został przedstawiona przedmiotowa na K.D. 121 w ramach 34 pp AK.

W noc krycia 1945 roku K.D. 121 podjęło walkę zbrojną jako samodzielny oddział partyzancki mający na celu kontynuowanie walki o Białpodległość Ojczyzny Polski a równocześnie ochronę żołnierzy Armii Krajowej przed represjami i wyzka na "Gyblin".

Latem 1945 roku K.D. 121 po rozwiązaniu Armii Krajowej przetrwała dalszą walkę jako Ruch Oporu Armii Krajowej.

W maju 1945 roku Oddział przegromił akcję zbrojną uwołnienia aresztowanych przez UB żołnierzy AK - MSZ i Boh. z więzienia powiatowego w Biłzaj Podlaskiej.

W miesiącu maju został ranny w rękę i biodro przez funkcjonariuszy UB. W miesiącu sierpniu 1945 roku rozwiązaniem Oddziału Partyzanckiego i części tego oddziału przesunięciem z bronią do Międzyzrocza Pomorskiego, gdzie zorganizowałem Obwód R.O. A.K. pod krytycznym K.O. "Marja". Dowódcą Pasa Inspektora "Kowala" został mianowany P.O. Komendant Obwodu.

W październiku 1945 roku przysięchałem do Gdańskie gdzie został mianowany przez Komendanta Obwodu Biłzaj Podlaska "Zenona" oficerem

organizacji. Jm na terenie Gdańsk - Gdynia. W ramach tej działalności na zgodę dowódcy narządziłem kwaterę i podporządkowałem sobie znajdujących się na tym terenie żołnierzy ROK. W tym czasie pełniłem jednocześnie następujące funkcje:

1. Po komendanta obwodu KD "Marja"
 2. Oficer organizacyjny na teren wybrzeża, Gdańsk-Gdynia.
 3. Dowódca Grupy Oddziału KD 121. Miejsce postoju "Zachód".
- W miesiącu marcu 1946 roku został aresztowany przez UB i wyrokem Wojtkowego Sądu Rejonowego w Gdańsku Nr akt 159/47 skazany na 15 lat więzienia. Karę tę odbywał do grudnia 1954 roku w więzieniu Gdańsk i Wrocław. Po wyjściu z więzienia ze względu na zły stan zdrowia skierowany został do leczenia szpitalnego a następnie do Domu Opieki Społecznej w Demaszewku, gdzie dotychczas przebywał.

/ / podpisany /
/ Stanisław Bogdanowicz /

Ten gość jest z AK, a ja aplikację robiłem z komuny –
mówi przestraszony prokurator

Wytwórnia bohaterów

Jest okres zbawidowskiej świetności. Od wielu lat byli żołnierze Armii Krajowej nie są już wrogami ludu, a propaganda ściera z nich ślinę kartłów reakcji i masuje ubeckie siniaki. Wolno im ubiegać się o prawa kombatanckie, starać o renty i dodatki, polerować medale. W czasie gdy cała Polska przekonuje się nawzajem, że AK też strzelało „o wolność i demokrację”, w Opolu środowisko jeszcze się obwąchuje. Taka geografia polityczna: tu po wojnie osiła różny muł – chłopcy z wołyńskich puszczy, dawni rycerze UPA i szwoleżerowie Goeringa. Przemieszali się, wtopili w tło sztandarów haftowanych Honorem i Ojczyzną, są nie do odróżnienia.

Maciej Siembieda

Siwiejącym oddziałom Armii Krajowej w Opolu przewodzi pułkownik „Zbigniew”. Salutuje mu kilku dawnych kresowych watażków, a wśród nich „Grom” – dezertjer z Wehrmachtu, który w wstępie do armii niemieckiej znalazł wojową chwałę w 11 Karpackiej Dywizji AK. Spotykają się, wspominają niegdyśne czasy, na harcerskich ogniskach idą żęki żardrości, a w społeczeństwie – podziw.

Blask ryngarów i oficerek oślepia szczególnie H., zamożnego opolskiego rzemieślnika, a przy tym znajomego „Groma”, który od miesięcy zabiega o audiencję u „Zbigniewa”. Jest natrętny, dlatego „Grom” wreszcie ustępuje i H. zostaje przyjęty. Do mieszkania dowódcy idą razem, ale stary partyzant szybko opuszcza je z niesmakiem: już w prz „pokojku H. usiłuje stuknąć obcasami, toniża się w ukłonach, roztacza perspektywę finansowego wsparcia środowiska, „kochany panie pułkowniku” powtarza częściej niż oddycha. „Groma” to mierzyć, więc wymyśla jakiś pretekst, przeprasza, wychodzi.

Po kilku tygodniach ze zdziwieniem dostrzega H. na zebraniu kombatan-tów 11 dywizji. Rzemieślnik poklepuje go ramionach, porusza się jak zawodowy rtmistrz i od razu widać, że to już nie ten sam człowiek. Paru kolegów tytułuje go „Zbikiem”.

Dziwna sytuacja w ulamku sekundy doprowadza do wrzenia partyzancką kre O co tu chodzi, to jasnej cholery? – pyta „Grom”. Dostrzegają kątem oka grama na twarzy „Zbigniewa”. Pułkownik kordialnie ujmując H. pod ramię i podchodzi z nim do „Groma”: Pozwól, że ci przedstawię... major „Zbik”... dowódca 148 Pułku Piechoty AK.

W „Groma” uderza piorun.

Z zebrania pamięta już tylko tyle, że H. uciekał ze wrokiem, a koledzy per-swadowali: Czego się czepiasz? Jak pułkownik tak mówi, znaczy tak jest. Jak w lesie. Potrzeba ci zady na stare lata? Potrzeba – odpowiada „Grom”, bo nie pęł to człowiek walczył, żeby teraz jakiś kładeł... Twarze kilku kolegów tężeją i... uważaj – mówią – bo diabeł wie, jak to z tym twoim walczeniem było. Zanim przyszło się do nas, nosiło się szwabski mundurek, nie?

Tak pęka pierwszy granat. A kiedy opadnie jego dym, będą już po dwóch stronach frontu: na wszystkich spotkaniach w sądzie, w „Europie” podczas kolacji nieudanego rozejmu, wszędzie. On – Wehrmacht. Oni – Armia Krajowa.

Oburzenie „Groma” zostaje wdeptane w pył żołnierskimi butami 148 Pułku Piechoty maszerującego z opolskich Oleandrów mistyfikacji na wojnę, o której mało, coraz mniej ludzi jeszcze pamięta.

Kilku znawcom dziejów Armii Krajowej z zdziwienia powiększają się źrenice, ale dla nich jest gotowe wyjaśnienie: Okupacyjna tradycja AK przewidywała uzupełnienie walczących oddziałów o ich rezerwowe formacje zamienione w konspirację i oznaczane dodatkową jedynką z przodu.

Znawcy potakują. A zatem – kontynuowane jest wyjaśnienie – pierwsze uzupełnienie pułku 23 było pułkiem 123, drugie 1123 i tak dalej, prawda? Prawda – zgadzają się znawcy. No więc chyba proste, że pułk 148 jest rezerwą pułku 48, rezerwą tak doskonale zakonspirowaną, że niewiele o nie wiedziało. Dowództwo, na rozkaz majora „Zbika”, wolało milczeć. Rozumiecie panowie: proces Okulickiego, potem przesładowania, noc komuny...

Znawcy kiwają głowami. Sto czterdziesty ósmy musiał być rzeczywiście sformowany

Poza znawcami jest jeszcze ważny i surowy pułkownik z Warszawy, który – owszem – bardzo jest rad, że nowi koledzy dołączyli do szeregu, ale niepokoi go ten „Grom”. Dlaczego on tak, ten „Grom”? – pyta pułkownik, ale adiutanci natychmiast meldują: To Wehrmacht, panie pułkowniku.

Aha.
„Wehrmacht” traktowany jest zatem jak czarna owca, a w Opolu rusza wytwórnia bohaterów. H. nie zajmuje się już znanymi w mieście zakładem rzemieślniczym. Nusi majorowskie dwie belki z gwiazdką i starannie kompletuje sztab pułku, dbając, aby znaleźć w nim ludzi lojalni i wpływowi: prawnik, dyrektor fabryki, oficer LWP. Kazdy z akowską szarżą i funkcją, a kiedy tych zabraknie, jeden z popieczników otrzyma zaświadczenie, że był... komendantem straży pożarnej 148 pp, choć żadna z formacji AK nie miała takiego stanowiska. Bo u „Zbika” wszystko jest możliwe.

W sto czterdziestym ósmym bohaterami byli wszyscy. Usieklł tysiące Niemców, rozbili kilometry szczeblenne bunkrowe, zniszczyli dużą część stalowego pogłowia „tygrysów” i sporo z produkcji Messerschmitta. Przeprowadzili setki akcji i dostarczyli bezcennych materiałów wywiadowczych, dzięki którym: doszło do szybszego zakończenia drugiej światowej. Nic innego, ale to bohaterstwo właśnie zdecydowało o brawurowym ataku na Warszawę.

Rozpoczął go od zwiadu, a zaraz potem poszło do ministerstwa pisemko z propozycją, aby z rekomendacji 148 pp AK przyznać pułkownikowi W. tytuł syna pułku. Stosowny dyplom przychodzi za trzy tygodnie i jest tak wyduńczony, że załącza do natychmiastowej nominacji pułkownika W. na... kawalera Virtuti Militari. To już mniej wiarygodne, ale

ministerstwo daje się nabrać.

STOWARZYSZENIE
PAMIĘCI CZYMU BOJOWEGO KLEBERGZYKÓW
w Woli Gułowskiej
Dom Kultury
21-481 Wola Gułowska
tel. 33 lub 7

Wola Gułowska,
dnia 21 listopada 1994 r.

Szanowny Pan

KAZIMIERZ HARMIDA

21-500 B i a ł a P o d ł a s k a
ul. Wiśniowa 6

Uprzejmie informuję, że przesłaną przez Pana pod moim adresem korespondencję z dnia 11 listopada br., którą otrzymałem w dniu 15 listopada przekazałem na adres: Pan mjr mgr inż. Henryk Pakuła, 00-590 Warszawa, ul. Marszałkowska 20/22 m. 24, który jest Przewodniczącym Warszawskiego Środowiska Byłych Żołnierzy SGO "Polesie", a więc sądzę, że jest osobą właściwą w sprawach przez Pana poruszanych.

Jednocześnie, zgodnie z Pana życzeniem podaję adres Pana Aleksandra Frąckiewicza:
15-101 Białystok ul. Jurowiecka 40 m. 1

Z poważaniem

PRZES
Zenon Wolski



DYREKTOR
BIURA SKARG I INTERWENCJI
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ
Al. Niepodległości 218, 00-911 Warszawa, Fax 6-874-144

2764/XV/98

Warszawa, dnia 22 października 1998 r.

Pan
Kazimierz Harmida
ul. Wiśniowa 6
21-500 Biała Podlaska

Szanowny Panie !

Potwierdzając otrzymanie adresowanej do ministra obrony narodowej kopii Pańskiego pisma z dnia 6 października br., skierowanego do naczelnika Wydziału Mianowań i Odznaczeń Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych uprzejmie wyjaśniam, że sprawy będące przedmiotem tego pisma należą do *wyłącznej* kompetencji wyżej wskazanego Urzędu.

W związku z powyższym zwracam nadesłane załączniki i zyczę Szanownemu Panu długich lat życia w zdrowiu i wszelkiej pomyślności.

Zał. 13 na 24 ark.

Z wyrazami szacunku


plk Tadeusz Chruściński



URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH
00-921 Warszawa-53, ul. Krucza 36
tel. centr. 695 80 00, 695 90 00; fax 625 34 14

GL/I /053/2031 - 442/96

Pan
Jerzy Staszewski
ul. Podleśna 58
21 - 500 Biała Podlaska

Szanowny Panie

W odpowiedzi na list, uprzejmie informujemy, że przepisy Ustawy z dnia 24 stycznia 1991 r. o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego /Dz.U.Nr 17, poz. 75 z póź. zn./ stwierdzają, że uprawnienia kombatanckie uzyskane na podstawie dotychczasowych przepisów podlegają weryfikacji.

Zgodnie z art. 25 ust. 2 i 3 ww. ustawy wdrożone jest postępowanie weryfikacyjne wobec osób, które niesłusznie otrzymały uprawnienia kombatanckie.

Jeśli w toku postępowania weryfikacyjnego okaże się, że osoba wymieniona w Pana liście nabyła uprawnienia niezgodne z cytowaną ustawą, to w myśl Rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów z dnia 12 lutego 1992 roku - zostanie tych uprawnień pozbawiona.

Jednocześnie wyjaśniamy, że weryfikacja członków należy do statutowych obowiązków stowarzyszeń kombatanckich i tam przede wszystkim powinien Pan zgłosić swoje uwagi i zastrzeżenia.

Jeśli ma Pan dowody, iż uprawnienia znanym Panu osobom powinny podlegać weryfikacji, a stowarzyszenie kombatanckie nie chce podjąć starań w celu ustalenia, czy uprawnienia te zostały przyznane zgodnie z obowiązującym prawem, to może Pan złożyć skargę na to stowarzyszenie do Wydziału Spraw Obywatelskich przy Urzędzie Wojewódzkim, do którego należy nadzór nad działalnością stowarzyszeń kombatanckich.

W przypadku, gdy posiada Pan niezbite dowody, iż wymieniona w liście osoba uzyskała uprawnienia niesłusznie, to może Pan skierować sprawę do prokuratury, właściwej dla miejsca zamieszkania

Przepraszamy, że z powodu napływu ogromnej liczby korespondencji musiał Pan czekać dość długo na odpowiedź.

Z wyrazami szacunku

NACZELNIK
Wydziału Listów i Interwencji
[Signature]
mgr Jolanta Łucyńska-Jurka

Północnym szlakiem do Anglii

Relacja ta powstała na podstawie listów por. pil. Jerzego Pohoskiego i dotyczy północnego szlaku ewakuacyjnego żołnierzy polskich zmierzających po wrześniu 1939 roku do Wielkiej Brytanii. Szlak ten jest mniej znany niż kierunek południowy – przez Węgry i Rumunię – dlatego warto go przypomnieć. Wspomnienia pisane są po czterdziestu kilku latach. Wiele przeżytych zatartych czas, jednak najważniejsze fakty utrwaliły się w pamięci i te starałam się przedstawić. Losy dwóch przedwojennych podchorążych lotnictwa i ich uporczywa wędrówka do armii polskiej na Zachodzie jest jedną z wielu ilustracji świadczących o ofiarności polskiego żołnierza w walce o niepodległość Polski w II wojnie światowej.

Z Lidy do RAF

Wybuch II wojny światowej zastał **Jerzego Pohoskiego** i **Bohdana Krahelskiego** – przyjaciół ze Szkoły Podchorążych Lotnictwa – w 5 Pułku Lotniczym w Lidzie, gdzie zostali powołani do rozkazem mobilizacyjnym.

17 września 1939 r., wobec przekroczenia granicy wschodniej przez Armię Czerwoną i pośpiesznego likwidowania lotniska – rezerwiści zostają zwolnieni do domu. Jednak Krahelski i Pohoski chcą walczyć! Podejmują szybką decyzję dołączenia trasą północną do organizujących się Polskich Sił Zbrojnych we Francji. Korzystając z zamieszania na lotnisku, wskakują do samolotów RWD-8 i startują w kierunku Wilna. Ponieważ lotnisko Porubanek jest już ewakuowane, lecą dalej na północ i lądują pod Dyneburgiem na Łotwie dla uzupełnienia paliwa. Ale tu spotyka ich niemiła niespodzianka (nie znali przepisu prawa międzynarodowego, który pozwalał państwu neutralnemu na internowanie „mundurowych” z państwa pozostającego w stanie wojny) – zostają internowani i odstawieni do obozu w Rezekne. W obozie jest towarzystwo międzynarodowe; grupa Polaków liczy ok. 40 osób, skłóconych i stale dyskutujących „kto zawinił”, „kto będzie za to odpowiadał”, „kogo powiesić”, „co robić dalej” itp. O ucieczce na razie nie ma mowy, bo obóz potężnie obwarowany i strzeżony. Nadchodzi ostra zima – trzeba przeczekać do wiosny. Wiosną Łotysze sami przychodzą z pomocą kierując internowanych do gospodarstw rolnych, które potrzebują rąk do pracy. Nasi postarali się o przydział do gospodarstw, leżących blisko granicy z Estonią. Po kilku dniach solidnej pracy i zdobyciu zaufania gospodarzy uzyskują pozwolenie odwiedzania się w wolną niedzielę. Korzystając z okazji „pryskają” w przygraniczne lasy i kierując się kompasem zdążają na północ. Celem jest Tallin, gdzie Jerzy

ma znajomego Estończyka, **Viktora Lindmę**, byłego studenta z Politechniki Warszawskiej; adres przesłała mu siostra **Aldona** do obozu w Rezekne

Wędrówka trwa około tygodnia, gdyż muszą iść ostrożnie – raczej nocą, omijając osiedla ludzkie, sypiając w dzień w lesie. Posiłek stanowią: garść płatków owsianych, plasterki boczków i lyk wódki. Najtrudniej ugasić pragnienie, bo strumyki nie często się trafiają. Wyszli wreszcie na Tartu. Krahelski miał jakiś adres emigranta Polaka. Niestety, emigrant dawno wyjechał. Mieli jednak szczęście, bo Estonka mieszkająca na jego miejscu skontaktowała ich z inną polską rodziną, która bardzo serdecznie zaopiekowała się rodakami; zostali wykąpani, odziani i nakarmieni. Po trzech dniach wspaniałego odpoczynku, zaopatrzeni w bilety kolejowe, udają się do Tallina.

Na dworcu oczekuje ich, powiadomiony wcześniej, **Viktor Lindma** i zabiera ich do swego małego mieszkanka, które dzieli z matką i żoną – Polką. Chłopcy sypiają w kuchni, dnie spędzają na „spacerach rozpoznawczych” po mieście i koło wybrzeża.

W porcie Tallin ruchu statków nie było – Zatoką Fińską, mimo wiosennego czasu – zamorznięta. Czekali na odwilż ok. trzech tygodni by wreszcie wyruszyć przez zatokę do Finlandii. Ponieważ na opłacenie przeprawy nie mieli pieniędzy (cały stan posiadania to 5 dolarów i 30 centów) – decydują się więc na „pożyczenie sobie” zwykłej łodzi rybackiej z wiosłami, pod warunkiem zapłaty, kiedyś po wojnie... Zaczynają wiosłować, mając przed sobą ok. 60 km do najbliższego fińskiego brzegu. Jednak początkowo łagodna pogoda diametralnie zmienia się. Łódka rzucona falami nabiera wody. Wiosłarze przemoczeni, z odparzonymi dłońmi, nękanymi torsjami walczą o utrzymanie łódki na powierzchni – Je-

rzy pisze: *Nigdy w życiu nie byłem, tak chory; po dwóch, czy trzech godzinach stało mi się obojętne, czy będę latał, czy mnie ktoś obwiesi. Nie chciałem jednak utonąć (woda była gorzko-słona i zimna). Wylewałem więc wodę z łodzi bardzo energicznie.*

Pod wieczór drugiego dnia uciekinierzy przybili do brzegów Finlandii, jakieś 20 km od Helsinek i zgłosili się do pobliskiej placówki straży granicznej. Po długich korowodach z oficerem, nie znającym żadnego obcego języka, udaje się go namówić, by przewiózł ich motorówką do Helsinek i dostawił do polskiej ambasady.

Tu kilkudniowe przesłuchania „kto jest kto”, wreszcie wydanie paszportów i decyzja zgodna z życzeniami chłopców: wyekspediować ich do granicy norweskiej (na północ Koła Polarnego), aby mogli dotrzeć do Narviku. Otrzymali trochę pieniędzy i bilety kolejowe z Helsinek do Oulu w środkowej części kraju; stamtąd samochodowym transportem wojskowym mają dotrzeć do Salmijervi na granicy z Norwegią. Emocje sięgają zenitu. Oto wkrótce połączą się z polskim wojskiem w Narviku. Będą walczyć...

Po kilku dniach podróży (11 czerwca 1940 r.), strażnik graniczny sprawdził paszporty, ale nie podniósł zapory; wybełkotał „Narvik caput”, „England caput”. Za późno! Niemcy zajmują Norwegię.

Por. pilot Jerzy Póhoski, ur. w 1919 r. w Warszawie, ukończył gimnazjum w Siedlcach w 1937 r., następnie Szkołę Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Dęblinie/Radomiu – jako kapral podchorąży pilot. Przydział służbowy otrzymał do 5 Pułku Lotniczego w Lidzie.

17 września ewakuował się razem z podchorążym pilotem Bohdanem Krahełskim na Łotwę. Przez Estonię, Finlandię i Szwecję dotarł do Anglii, gdzie po odbyciu wymaganego szkolenia uczestniczył w lotach bojowych od kwietnia 1944 r. w Dywizjonie 300 im. „Ziemi Mazowieckiej”. Odznaczony został Krzyżem Virtuti Militari V kl., 2 razy Krzyżem Walecznych i Medalem Lotniczym.

Zdemobilizowany osiedlił się w Kanadzie i obecnie mieszka w Vancouver. Ma żonę i syna.



Kpt. pilot Bohdan Krahełski (brat Krystyny Krahełskiej, „Warszawskiej Syreny”, poetki i autorki pieśni powstańcze), ur. w 1915 r. w majątku Mazurki k/Baranowicz, studiował w SGH w Warszawie. W 1937 r. razem z Jerzym Póhoskim ukończył Szkołę Podchorążych w Dęblinie/Radomiu i dalej dzielił losy przyjaciela wędrując drogą północną do Anglii. Rozeszli się dopiero w kwietniu 1944 r. ze względu na różny przydział do jednostek bojowych. Krahełski latał w Nocnym Dywizjonie Myśliwskim 307 „Łwowskim”.

Pod demobilizacją w 1946 r. przeszedł do służby w angielskich liniach lotniczych w Indiach, a potem na Bliskim Wschodzie. Zginął 29 września 1958 r. w bliżej nie wyjaśnionych okolicznościach podczas lotu z Bejrutu do Londynu, w okolicach wyspy Rodos nad Morzem Śródziemnym.

Z polskich odznaczeń otrzymał Krzyż Walecznych i Medal Lotnictwa.



Niedoszli ochotnicy wracają tą samą drogą do Oulu, następnie skierowani są przez ambasadę do obozu polskiego w niedalekiej wiosce Ruukki. Tam już przebywała grupa polskich ochotników ewakuowanych z neutralnej Szwecji, którzy, podobnie jak nasi chłopcy, nie zdążyli do Narviku. Obóz liczy ok. 30 osób; zorganizowany został przez attaché wojskowego ambasady RP płk. **Władysława Łosia** w porozumieniu z miejscowymi władzami i kobięcą organizacją „Lotta Svärd”, zajmującą się wyżywieniem uchodźców.

Stosunek miejscowej ludności do Polaków był zycielny, w niektórych przypadkach – wręcz serdeczny. Finowie, którzy sami walczyli o swą niezależność („wojna zimowa” z ZSRR) darzyli naród polski szacunkiem za bezkompromisowość i waleczność.

Tymczasem dni biegly nieubłaganie. Nieudolność urzędników polskich ambasad w Helsinkach i Sztokholmie w sprawie wiz – ewidentna, a cierpliwość czekających na nie wyczerpywała się.

Próby ucieczki podejmowali na własną rękę przez port w Petsamo, ale udało się to niewielu. Szanse zmniejszały się w miarę rozwijającej się współpracy Finów z Niemcami przeciwko ZSRR. Sprawa ewakuacji obozu w Ruukki staje się nagląca.

Pod koniec czerwca kpt. **Tokarski** w porozumieniu z ewakuującym się do Szwecji obozem



Ostatnie rozpoznanie

Po przeszło dwutygodniowych walkach i tuczeniu się po różnych lotniskach, 113 i 114 eskadry w łącznym stanie 7 maszyn zatrzymały się 16 września w Pętlikowicach dla zorganizowania do możliwego stanu, gdyż wszystkie maszyny, jak również rzut kołowy, były w oplakanej kondycji. Na domiar złego nie było benzyny; niektóre maszyny miały zaledwie po 50-60 litrów. 17 września przyszedł rozkaz gen. **Zająca**: wysłać dwie maszyny na rozpoznanie sytuacji w pobliżu granicy sowieckiej. Piloci mają uważać, aby w żadnym wypadku nie przekroczyć granicy, ponadto tak „pracować”, aby ich powrót był stuprocentowo pewny.

Mjr **Wyrwicki** wyznaczył ppor. pil. **Zatorskiego** i mnie. Ppor. Zatorski dostał północny odcinek granicy, ja zaś południowy. Okazało się, że przyszły meldunki z KOP o koncentracji znacznych sił sowieckich na granicy, a nawet o jej przekroczeniu w niektórych miejscach.

Mechanicy zrali resztki benzyny i wystartowaliśmy. Leciałem lotem koszącym i po dziesięciu minutach zauważyłem na szosie podoficera jadącego na rowerze w przeciwnym kierunku. Tknęło mnie, że coś nie w porządku, bo jechał jak szalony, w rozpiętym mundurze. Początkowo chciałem lądować i zapytać się – miejsca było dużo do

lądowania – ale dałem spokój. Po paru dalszych minutach doleciałem do miasta, nazwy nie pamiętam, i zauważyłem na trzech szosach zbiegających się w mieście długie kolumny samochodów. Co to były za kolumny, trudno było się zorientować, wróciłem więc na szosę, gdzie widziałem podoficera, wyprzedziłem go i wylądowałem na szosie.

Cała sprawa się wyjaśniła: sierżant właśnie wiał z miasta, bo – gdy wyjeżdżał – jego północno-wschodnia część była już zajęta przez wojska sowieckie. Początkowo nie wiedziałem czy wracać, czy lecieć jeszcze raz: rozkaz mówił, że koncentrację zauważono parę kilometrów poza naszą granicą, a tu naraz spotykam ich w odległości 50 km od Pętlikowic.

Decyduję się raz jeszcze lecieć, spotykam znowu te same kolumny, lecę w kierunku południowo-wschodnim, a tu aż mnie podrzuciło: na trudnej do określenia przestrzeni kotłuje się ogromna masa: czołgi, potem kawaleria, znowu czołgi, znowu kawaleria. Myślę: trzeba się zorientować, ile tego jest. Ale nie mogłem.

Wracam w kierunku Pętlikowic, dochodzę do miasta, w którym widziałem kolumny samochodowe i widzę, jak zmotoryzowany batalion KOP wali co sił w kierunku Sowietów; odległość po-

Z Lidy do RAF (dok. ze str. 11)

Anglików (ochotników na „wojnę zimową”) próbuje dołączyć do niego grupę polską – może uda się w ten sposób przemycić grupę bezwizowych ruukkijczyków. Próba nie udaje się i Polacy zostają internowani w granicznym mieście portowym Tornio (nad Zatoką Botnicką). Mijają 24 dni zanim wreszcie wizy docierają do internowanych.

Jerzy Pohoski, po dziesięciu dniach bezczynnego siedzenia w obozie, podejmuje ucieczkę; udaje mu się przekroczyć szwedzką granicę, ale zostaje aresztowany w pobliskim miasteczku. Musi czekać w więzieniu na wizę, którą mu przywożą towarzysze z Ruukki. Razem cała grupa zostaje skierowana do szwedzkiego obozu leśnego we wsi Hammarby, w środkowej Szwecji. Zatrudnieni są jako drwale, za tę pracę otrzymują nawet wynagrodzenie ze szwedzkiego przedsiębior-

stwa. Jest to sposób na przetrwanie, w oczekiwaniu w kolejce do angielskich samolotów transportowych, startujących ze Sztokholmu do Anglii. Kolejka jest długa, bo każdy może zabrać kilka osób „po cichu”. A nie tylko Polacy czekają...

Nasi chłopcy zostali wezwani do Sztokholmu w końcu listopada 1941 r. Wreszcie ziściły się marzenia. Po dwóch latach i dwóch miesiącach wędrówki przez cztery kraje, wylądowali w pln. Szkocji (w Lucharms). Następnego dnia pojechali do Londynu do tzw. Szkoły Patriotycznej, gdzie wywiad polski i angielski „maglował” kandydatów do armii. W grudniu tego roku zostali skierowani na szkolenie, trwało ono jeszcze dwa lata i 3 miesiące. Loty bojowe rozpoczęli w kwietniu 1944 roku.

Zofia GLAZER

między nimi jest jakieś 15 km. Podlatuję, macham skrzydłami, pokazuję kierunek i teraz zapominam o wszystkich rozkazach: przecież jest ich garstka, a tam straszna masa. Niemcy nas tłukli tyle dni masą, co teraz? Latam na odcinku pomiędzy nimi, odległość się zmniejsza. Gdy przelatuję, nie strzelają, natomiast konie skaczą jak szalone, psują szyki. Nie wiem, co robić; myślę sobie, że choć narobię im bałaganu, więc pikuję raz, drugi, trzeci, za czwartym razem słyszę grzechot karabinów maszynowych, to strzelają taczanki z kaemów sprężonych po 4-6. Wracam do KOP-u, odległość jakieś 10 km. Zmotoryzowany batalion jak przedtem pędzi, ci na pewno będą się bić (na lotnisku słyszeliśmy, że Sowietci nie biją się z Polakami, nawet mówią, że idą bić Niemca).

Rany boskie, co robić, przecież w takiej sytuacji, ja ich nie mogę zostawić, trzeba im pomóc, jeżeli nie reagują na żadne sygnały, zawsze coś przynocy zamieszanie wywołane przez samolot. Przypominam sobie rozkaz, zwracam.

Dzień, początkowo ładny, stał się ciemny, czarne chmury weszły na niebo. Deszcz zaczął lać taki, że prawie nic nie było widać. Po pewnym czasie widzę jar, jeszcze trochę i lotnisko, siadam. Na lotnisku czekają już płk **Pawlikowski** i mjr Wyrwicki. Zdaję raport, sytuacja przykra, dostaję rozkaz lotu do gen. Zająca z raportem. Start, 20 minut lotu i teraz zaczyna się znowu tragedia – nie mogę się dostać do generała. Czekam 5. 10 minut, podchodzę do grupy oficerów sztabowych, melduję, że ważne wiadomości. Jeden z nich mówi: proszę mi zaufać, ja zamelduję. Mówię mu wszystko i stale powtarzam, że mało czasu. Wziął raport, poszedł i więcej go nie widziałem, prawdopodobnie powiedział innym, że Sowietci tuż, bo samochody wyrzywały, aż ziemia grzmiała. W każdym razie sprawdziłem później, że u gen. Zająca nie był. Zdecydowałem się po paru dalszych minutach iść do generała. Okazało się to proste, bo trzeba było tylko drzwi otworzyć. Panował tu spokój, generał przyjął raport, zastanowił się chwilę i powiedział: „Poleci pan zawiadomić wszystkie okoliczne lotniska, że wszystkie formacje lotnicze mają bezzwłocznie odlecieć do Rumunii”. Melduję: „Benzyny nie ma”. Rozkaz: „Robić, co można”.

Zrozumiałem, że koniec całego przedstawienia, głupio mi się jakoś zrobiło, trudno mi było zrozumieć, że to już koniec. Lotnictwo polskie, Boże kochany...

Włodzimierz Miksa,

mjr pilot, XII promocja Szkoły Podchorążych Lotnictwa-Dęblin, podporucznik od 31.08.1939 r. W wojnie 1939 r. latał w 114 Eskadrze Myśliwskiej; we Francji – Klucz obrony miasta Lezon; w Bitwie o Anglię walczył w 151 DM RAF; w latach 1942-1943 latał bojowo w 303 i 315 DM, a następnie szef wyszkolenia myśliwców 58 OTU. Od 1.01. do 24.08.1944 r. dowodził 317 DM „Wileńskim”. Zestrzelił 3 samoloty na pewno, 1 uszkodził.

Obecnie mieszka w Wielkiej Brytanii.



Lecę z powrotem, nic nie mogę myśleć, w głowie mi huczy, dolatuję, siadam. Powtarzam płk. Pawlikowskiemu rozkaz. Krótkie zamieszanie, bo jedna maszyna ma więcej benzyny, druga prawie nic, rozlewamy, sztukujemy, jak możemy. Na okoliczne lotniska leci ktoś inny. My też zabieramy się w drogę. Odlot. Ostatni lot, patrzę na wszystko. Lecę wzdłuż Dniestru, myślę sobie, że prowadzi mnie ostatni raz. Czas jakoś szybko mija, już Zaleszczyki i... Rumunia. Odwracam głowę.. Widzę jeszcze naszą ziemię, jeszcze chwila i to nawet przepada.

Siadamy na lotnisku w Czerniowcach. Jest już naszych dość dużo, liczymy – ponad 100 RWD-8 i RWD-13, Karasi 20, PZL P-11 około 40. Buntujemy się: dlaczego kazali nam tu przylecieć, przecież na początku wojny w Warszawie wszystkie cztery eskadry liczyły niewiele więcej. Tłumaczą: benzyna, lotniska... Siadamy grupami w hangarze, koło nas waleśają się żołnierze rumuńscy. Boże pożałuj, jak wyglądają. Co chwila podnosimy głowy, bo coś słychać w powietrzu. Cieszymy się, że nas coraz więcej, zawsze to lepiej, gdy się już znacznie coś robić.

Następnego dnia rozdzielili nas, każdy poleciał gdzie indziej. Ja z małą grupką odleciałem do Gałacz. Rumuni „awiony” zabrali, a my po przeszło rocznej tułaczce byliśmy znowu w polskiej eskadrze.

Włodzimierz MIKSA

Skrzydła, Wiadomości ze świata Nr 154/640, Londyn, lipiec 1999

ZAGADKOWY WYROK

„Zygmunt” i „Ostati” w czasie okupacji niemieckiej byli żołnierzami oddziału partyzanckiego Armii Krajowej, 34 pułku piechoty, działającego na Podlasiu. Mimo różnicy wieku (rocznik 1909 i 1925) trudy, zadania bojowe, jak też liczne potyczki z okupantem, zacięły pomiędzy nimi węzeł koleżeńskości i przyjaźni.

Po tzw. wyzwoleniu w 1944 roku zostali aresztowani przez NKWD i wywiezieni do Związku Sowieckiego, gdzie osadzono ich, podobnie jak innych z AK i BCH w łagrach.

Do kraju powrócili w lutym 1946 roku, zmierzowani, chorzy i wycieńczeni. W krótkim czasie zostali odnalezieni przez dawnego przełożonego z leśnego oddziału okresu okupacji, o pseudonimie „Kropka”.

Kropka organizował swój oddział „Zygmunt” i „Ostatego”. Ze złożona podczas okupacji przysięga nadal obowiązuje. W związku z czym obaj podporządkowali się dawnemu dowódcy bez zastrzeżeń. Wkrótce zostali też uzbrojeni w pistolety, ze skromną ilością naboju. Za zgodą dowódcy zwerbowali także do oddziału swego członka rodziny.

Jednym z zadań, otrzymanych do wykonania, było zlikwidowanie funkcjonariusza UB, zamieszkałego w dzielnicy „Wola” w Białej Podlaskiej. Wyroku jednak nie wykonano, z przyczyn nie od nich zależnych. Wówczas otrzymali kolejny rozkaz. Zabrania z magazynu białskiego Monopolu Spirytusowego pieniądze na cele organizacyjne oddziału.

Akcja została przeprowadzona sprawnie, zadanie wykonano. Leśni zdobyli 150 tys. zł, zostawiając w kasie monopolu stosowne pokwitowanie. Zdobyte pieniądze przekazano dowódcy, który kwatrował wtedy we wsi Młyniec koło Białej Podlaskiej. Podczas wręczania pieniędzy „Ostati” otrzymał następujące zadanie: dokonać zakupu na wcześniej wymienionego „ubekę”, przewidzianego w tym czasie we łdawiu. Wspólnie z „Zygmuntem” i trzecim członkiem oddziału wsiadł więc do pociągu jadącego - przez Warszawę i Łódź - do Wrocławia.

Dojechali tylko do Łodzi. 3 kwietnia 1946 roku zostali aresztowani przez funkcjonariuszy łódzkiego UB. W czasie rewizji osobistej znaleziono przy nich broń i dokumenty obciążające. Po kilkumiesięcznym śledztwie, Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi skazał „Zygmunta” i „Ostatego” na 10 lat, natomiast trzeciego członka grupy na 5 lat więzienia.

Cała trójka długo zastanawiała się co było powodem tej „wspysy” i kto do tego przyłożył rękę. Podobnie było z odpowiedzią na pytanie: po co było zlecać wykonanie wyroku na „ubekę” w odległym mieście, skoro można było to wykonać na miejscu, w Białej Podlaskiej. Odpowiedzi nie ma zresztą do dziś.

Nie wszyscy mogą też wnieść coś nowego do tej zagadkowej sprawy. A już na pewno nie „Ostati”, który 23 maja 1950 roku zmarł w więzieniu. Z wyroku Wojskowego Sądu Rejonowego w Łodzi Nr art. R.415 / 46 z dnia 27 VIII 1946 roku skazani bracia Zielińscy i Loniewski

UROCZYŚCISCI w Polskowi

W niedzielę 27 czerwca br. w Polskowi k. Radzyna odbyła się uroczysta msza św.

i z bronią. Wystrzelił on rozkaz zgasić światło, w tym czasie każdy strzelił do wspomnianego osobnika w miedzurzę, z nogami amerykańskiego, rzuć go w rękę. Po oddaniu strzałów wszyscy uciekliśmy do domu. I drugi dzień po tym wypadku, przyszedł Loniewski Stanisław ps. „Zygmunt” i zabierał mi wspomniany nóż. Wreszcie zabrał go.



Derewiczna

Brzozowy Kal

1:50,000